

Peru się obudziło

28 listopada 2020

Dziesiątki tysięcy ludzi demonstrujących na ulicach, wielu zabitych i rannych. Trzech prezydentów w ciągu tygodnia, pogłębiający się polityczny chaos i coraz głośniejsze brzmienie hasła „zmiana Konstytucji!” – to obraz Peru w ostatnich tygodniach. Jak doszło do tego, że kolejny naród Ameryki Łacińskiej wypowiedział wojnę neoliberalizmowi i niepodzielnie rządzącej krajem oligarchii?



Aby dobrze zrozumieć obecne wydarzenia w tym andyjskim kraju, konieczne jest cofnięcie się do roku 2016. Odegrały się wtedy w Peru wybory, jak co 5 lat wyłaniające jednocześnie zarówno prezydenta, jak i parlament. Do drugiej tury wyborów prezydenckich przeszli ekonomista MFW i Banku Światowego Pedro Pablo Kuczynski oraz Keiko Fujimori, córka Alberto Fujimoriego, prezydenta z lat 1990 – 2000, jednego z pionierów dzikiego neoliberalizmu w Ameryce Łacińskiej, skazanego później na 25 lat więzienia za mordy na opozycjonistach, korupcję i bezprawne rządy autorytarne. Bardzo małą różnicą (ok. 30 tys. głosów) wygrał wybory Kuczynski, z wynikiem 50,12 proc. Jego ugrupowanie przegrało jednak z kretesem równorzędne wybory parlamentarne, uzyskując jedynie 18 mandatów w 130 – osobowym Kongresie Republiki Peru. Samodzielną większość w izbie (73 mandaty) zdobyła za to partia Fuerza Popular jego oponentki Keiko Fujimori. Temperatura sporu już wtedy była bardzo wysoka i z góry było wiadome, że deputowani tej i innych wrogich prezydentowi partii będą rzucać Kuczynskiemu kłody pod nogi i zrobić wszystko, by pozbyć się go z urzędu.

Pierwszą próbę usunięcia podjęto w grudniu 2017 roku, kiedy zaczęły wychodzić na jaw pierwsze kulisy tzw. afery Odebrecht (od nazwy brazylijskiego konglomeratu budowlanego, który przez wiele lat korumpował wielu przywódców i czołowych polityków z

Ameryki Łacińskiej). Wtedy Kuczynskiemu udało się jeszcze uciec spod topora (co ciekawe, dzięki głosom deputowanych od Keiko Fujimori, których ceną było wątpliwe legalnie ułaskawienie jej ojca). Mniej szczęścia miał w marcu kolejnego roku, kiedy na zarzucaną mu korupcję pojawiły się twarde dowody – w obliczu utraty poparcia nawet części posłów z własnej partii, złożył rezygnację.

Zgodnie z konstytucją, urząd objął (i miał pełnić do czasu kolejnych wyborów) dotychczasowy wiceprezydent Martín Vizcarra, współpracownik Kuczynskiego. Jak nietrudno się domyślić, jemu też parlament przy każdej możliwej okazji utrudniał pracę. Peruwiańczycy mieli z czasem coraz bardziej dość paraliżujących państwo ciągłych napięć na linii pałac prezydencki – Kongres, dlatego decyzja Vizcarry z listopada 2019 roku o rozwiązaniu parlamentu i ogłoszeniu na styczeń nowych wyborów spotkała się z powszechną aprobatą. Masowe demonstracje, wyrażające poparcie dla prezydenta i dezaprobatę dla parlamentu, wymusiły na tym drugim jeszcze jedno, kluczowe dla dalszego rozwoju spraw ustępstwo. Kongres uchwalił, że odtąd nie można będzie sprawować mandatu parlamentarzysty dwie kadencje z rzędu. Co warte zaznaczenia, mający być wybrany w styczniu nowy parlament uznano za uzupełniający jeszcze tej kadencji (miał obradować do czasu właściwych generalnych wyborów w 2021 roku), jednak ustępującym deputowanym zakazano ubiegania się o miejsce także w nim. Natomiast zakaz udziału w wyborach w 2021 roku z góry obejmował rzecz jasna także parlamentarzystów, którzy mieli być wyłonieni w styczniu (jako obradujących w obecnej kadencji).

Przy okazji tematu wyborów warto przyjrzeć się bliżej scenie politycznej andyjskiej republiki. Należy ona do najbardziej niestabilnych w regionie. Przy okazji każdego wyborów pojawia się wiele ugrupowań – efemeryd, potrafiących zdobyć dużą ilość mandatów, ale niezdolnych, by przetrwać dłużej niż jedną – dwie kadencje. Względnie stałą (co nie znaczy dominującą) pozycję mają trzy partie: wspomniana już silnie prawicowa i

skrajnie wolnorynkowa Fuerza Popular Keiko Fujimori, Acción Popular, konserwatywno-liberalne ugrupowanie centroprawicowe oraz APRA (Amerykański Rewolucyjny Sojusz Ludowy), jedna z najstarszych partii w kraju, kiedyś lewicowa i będąca częścią międzynarodowego ruchu, dziś jednak zdecydowanie centrowa. Peruwiańska lewica, dzisiaj reprezentowana głównie przez koalicję małych partii socjalistycznych i komunistycznych Frente Amplio oraz (częściowo) przez centrolewicową partię miejskiej inteligencji Partido Morado, od lat miała problem ze zdobyciem szerokiego poparcia społecznego. Składały się na to dwa czynniki. Wśród części Peruwiańczyków wszelkie lewicowe hasła wywoływały negatywne skojarzenia z terrorem Świetlistego Szlaku – skrajnie lewicową organizacją, która przez ponad 20 lat (1980 – 2002) toczyła krwawą wojnę domową z rządem Peru.

Drugim, ważniejszym powodem, jest koncentracja zdecydowanej większości mediów w rękach przedstawicieli wielkiego biznesu. Gospodarka Peru charakteryzuje się dominacją bardzo dużych prywatnych koncernów, produkujących głównie na eksport. Ich właścicielom (związanym z amerykańską oligarchią) oczywiście nie po drodze ze wszelkimi prospołecznymi reformami. Dlatego właśnie, za pomocą mediów do nich należących, szczególnie od czasu latynoamerykańskiego „różowego przypływu” starali się oni za wszelką cenę torpedować wszystkie lewicowe inicjatywy. Robili wszystko, by nie dopuścić do tego, by Peru poszło choćby śladem sąsiedniej Boliwii, rządzonej przez Ruch na rzecz Socjalizmu Evo Moralesa. W tym celu prywatne media jak mantrę powtarzają np. klasyczny już straszak w postaci „losu Wenezueli” czy propagandowe kalki w stylu „lewicowiec=terrorysta”.

Wybory w styczniu tego roku znacząco zmieniły skład partyjny parlamentu, nie zmieniając jednak jego profilu ideowego (pozostał zdominowany przez ugrupowania prawicowe). Wielką klęskę w wyborach poniosła mająca dotychczas większość Fuerza Popular Fujimori (zdobyła jedynie 7 proc. głosów i straciła 58 mandatów) której Peruwiańczycy mieli za złe, że przez cztery

lata zajmowała się jedynie walką z prezydentami i paraliżowaniem władz centralnych. O skali rozdrobnienia politycznego niech świadczy to, że do Kongresu weszło dziewięć partii, a zwycięska Acción Popular zdobyła tylko niewiele ponad... 10 proc. głosów i wprowadziła 25 deputowanych. Początki obrad nowego parlamentu zbiegły się w czasie z wybuchem pandemii koronawirusa, która zebrała w Peru przerażające żniwo. Zmarło już prawie 40 tys. osób, a bezrobocie sięgnęło 50 proc. Obraz rozpaczki pogłębia to, że w Peru ponad 60 proc. pracowników było zatrudnionych na czarno, co czyni jakiegokolwiek system praw pracowniczych czy ubezpieczeń społecznych najwyżej pobożnym życzeniem.

Szacuje się, że na skutek pandemii już aż dwa i pół miliona Peruwiańczyków ponownie spadło poniżej progu ubóstwa (który i tak przed epidemią sięgał w tym kraju ok. 20 proc.). Ciężko nawet mówić o niewydolności służby zdrowia, bo w wielu miejscach jej po prostu nie ma. Ogromna część społeczeństwa została więc porzucona przez władze na pastwę losu i pozostawiona bez opieki medycznej oraz środków do życia. Na skutek tego pokłady społecznego gniewu zaczęły szybko rosnąć.

Winą za tę ogromną narodową tragedię nowy parlament zaczął coraz głośniej obarczać prezydenta. Nie można powiedzieć, że niesłusznie – Vizcarra wzorem poprzedników w czasie urzędowania nie zrobił praktycznie nic, by jakkolwiek rozbudować system ochrony zdrowia, ucywilizować rynek pracy czy poprawić sytuację biedniejszej części społeczeństwa. Dodatkowo podjęte przez niego działania przeciwko pandemii koronawirusa były bardzo chaotyczne i niekonsekwentne, często zamiast pomagać jedynie pogarszały sytuację. W parlamencie jednak nikt jeszcze wtedy głośno nie podnosił postulatu impeachmentu prezydenta.

Tu dochodzimy do sedna sprawy i prawdziwych kulis kryzysu na szczytach władzy. Wraz z nadchodzącą jesienią zbliżał się czas, kiedy prezydent miał ogłosić dokładną datę przyszłorocznych wyborów generalnych (wstępnie planowanych na

kwiecień 2021). Jednak większości parlamentarzystów, którym przez niecały rok spodobało się bycie u władzy, średnio widziało się jej oddawanie już w tym terminie, szczególnie ze świadomością, że zgodnie ze wspomnianą przeze mnie wyżej uchwałą poprzedniego parlamentu, nie będą mogli wziąć udziału w kolejnych wyborach. Zaczęli więc oni namawiać prezydenta, by pod pretekstem zagrożenia pandemicznego przedłużył o rok kadencje swoją i Kongresu. Vizcarra nie chciał się na to zgodzić i w październiku zapowiedział wybory na 11 kwietnia. Decyzja ta połączyła rozdrobnioną parlamentarną prawicę przeciwko głowie państwa. Swoją zawziętością i zjadłością ataków na czoło tej nieformalnej koalicji antyprezydenckiej wysunęła się zdecydowanie jedna partia – Unión Por el Perú, której od początku najbardziej zależało na przedłużeniu obecnej kadencji, miała bowiem w tym swój szczególny interes. UPP to ugrupowanie skrajnie prawicowe (w praktyce faszystowskie) odwołujące się do ideologii indiańskiego etnicznego nacjonalizmu, rasizmu i militarizmu, od kilku lat zdobywające sobie coraz szersze poparcie wśród rdzennych mieszkańców Peru. W obecnym parlamencie jest już czwartą siłą, a pogardzająca stale się sytuacja społeczno-gospodarcza jest dla niej doskonałym paliwem. Partia ta ma jednak jeden problem – jej rzeczywisty lider i główny ideolog Antauro Humala od 2005 roku odsiaduje wyrok 19 lat pozbawienia wolności za zbrojny atak na komisariat w andyjskim miasteczku Apurimac, podczas którego zginęło czterech policjantów. Humala, były wojskowy, od dawna deklaruje chęć zawalczenia o prezydenturę, jednak najszybciej o warunkowe zwolnienie może starać się dopiero w 2022 roku. Dlatego (jak się okazało) to właśnie deputowani z UPP byli pomysłodawcami planu przesunięcia o rok terminu wyborów i najbardziej go forsowali, innych prawicowych parlamentarzystów z łatwością przekonując wizją przedłużenia ich obecności „przy władzy”.

Kiedy jednak ten pomysł nie wypalił ze względu na opór prezydenta, postanowili oni sięgnąć po „plan B” – pozbyć się Vizcarry i zastąpić go kimś, kto w podzięcie za ich poparcie w

wyborze ułaskawi ich lidera. To właśnie na wniosek parlamentarzystów z Unión Por el Perú została rozpoczęta procedura impeachmentu i oni organizacyjnie przewodzili całej akcji. W tym celu posłużono się oskarżeniami o korupcję, jakie pojawiły się wobec prezydenta. Dotyczyły one czasu, kiedy był gubernatorem regionu Moquegua.

Zarzuty wydają się co prawda wiarygodne, jednak parlamentarzystów, chcących po prostu pozbyć się Vizcarry, niespecjalnie interesowały nie tylko wyniki jakiegokolwiek śledztwa, ale nawet jego wszczęcie. Zgodnie z konstytucją, prezydenta można zaś odwołać za „moralną niezdolność do pełnienia urzędu”. Vizcarra, widząc zbliżający się atak parlamentu, spróbował ratować się zapytaniem skierowanym do Trybunału Konstytucyjnego, aby ten doprecyzował, co to dokładnie znaczy. Na niewiele się to zdało – TK zgodził się odpowiedzieć „po kilku tygodniach”, a impeachment przeprowadzono po kilku dniach, 9 listopada. Za złożeniem z urzędu głosowało 105 deputowanych, w tym prawie wszyscy prawicowi. Szybkość obalenia prezydenta, bardzo swobodna w tym celu interpretacja konstytucji oraz aktywny udział w tym dowódców wojskowych wyraźnie miały znamiona zamachu stanu.

Oliwy do ognia dolał też wybór przez parlament jego następcy, dotychczasowego przewodniczącego Kongresu Manuela Merino. Ten mierny i bezbarwny polityk z Acción Popular znany był m. in. z nieludzkiego wyzysku pracowników, jaki praktykował w swoich przedsiębiorstwach w północnym Peru. W oczach polityków z Unión Por el Perú był jednak idealnym kandydatem na okresowego figuranta, którego głównym zadaniem (w ich planach) miało być uwolnienie Antauro Humali przed kwietniowymi wyborami.

Przebiegli stratedzy z UPP nie przewidzieli tylko jednego – gniewu ludu. Niedługo po tym, jak 10 listopada Merino został zaprzysiężony na prezydenta, tysiące Peruwiańczyków wyszło na ulice. Nie tyle z poparcia dla Vizcarry, ale by zaprotestować przeciwko bezprawnym zakulisowym intrygom skrajnej prawicy. Szczególnie licznie uczestniczyła w demonstracjach młodzież,

mająca dość niepodzielnych rządów prawicowej gerontokracji i ich układów na szczytach władzy. Merino miał nadzieję, że za pomocą bezwzględnych działań policji stłumi protesty w zarodku, ale bardzo się przeliczył. Brutalne pacyfikacje służb z rozkazu prezydenta, w których zginęły co najmniej trzy osoby, a setki zostały ranne, tylko rozogniły sytuację. Wielka fala protestów i zamieszek przetoczyła się przez cały kraj. Demonstrowały setki tysięcy ludzi. Lud Peru otwarcie wyraził swój sprzeciw wobec sytuacji, w której garstka oligarchów uzurpuje władzę i pławi się w luksusach, gdy w tym samym czasie miliony zwykłych ludzie są pozbawione dostępu do podstawowej opieki medycznej, a nawet głodują. Po 5 dniach urzędowania, od Merino odwrócili się nawet popierający go deputowani Kongresu i ministrowie jego gabinetu. To zmusiło go do rezygnacji i ustąpienia z urzędu. Przerażeni zasięgiem protestów i skalą społecznego gniewu prawicowi deputowani zwrócili się z prośbą o wskazanie kandydata na tymczasowego prezydenta do tej mniejszości w Kongresie, która głosowała przeciwko obaleniu Vizcarry.

Początkowo wysunięto kandydaturę Rocío Silvy, deputowanej z lewicowej koalicji Frente Amplio, prawica nie zgodziła się jednak na jej wybór. Poparcie większości uzyskał dopiero centrysta Francisco Sagasti, lider ugrupowania Partido Morado i 17 listopada objął urząd prezydenta. Obejmując urząd przeprosił w imieniu władz za brutalność policji podczas demonstracji oraz obiecał jak podjęcie szybkich i zdecydowanych kroków w walce z pandemią, bezrobociem i głodem. Kredyt zaufania od dużej części społeczeństwa Sagasti zdobył doбором ministrów do swojego gabinetu. Zasiądzie w nim m. in.: Violeta Bermúdez, prawniczka i znana na całym kontynencie działaczka na rzecz praw kobiet, ciesząca się popularnością wśród młodych czy Nuria Esparch, która jako pierwsza kobieta w historii Peru będzie ministrem obrony. Niestety sprawy gospodarcze pozostaną w rękach liberałów – ministrem finansów został mianowany znany z wolnorynkowych poglądów profesor Waldo Mendoza. Czas pokaże, czy nowy gabinet poradzi sobie z

bardzo napiętą sytuacją w kraju.

Podczas protestów, obok zwykłych haseł antyrządowych, coraz głośniej wybrzmiewało wezwanie do zmiany konstytucji. Obecna, uchwalona w 1993 roku (za autorytarnych rządów Alberto Fujimoriego) jest jednym z filarów władzy politycznej i biznesowej oligarchii oraz służy głównie ochronie ich interesów. Neoliberalna do szpiku kości, nie gwarantuje zwykłym Peruwiańczykom prawie żadnych praw socjalnych i pracowniczych, zaś ogólnikowość jej przepisów w części dotyczącej władzy w państwie pozwala każdorazowo rządzącej ekipie interpretować ją w sposób praktycznie dowolny. Różne partie lewicowe od wielu lat głosiły konieczność zmiany konstytucji, jednak dopiero przy okazji tych protestów postulat ten zdobył szeroki rozgłos społeczny.

Czy Peru ma szansę pójść śladem sąsiedniego Chile i obrać kurs na pozbycie się skansenu biznesowo-wojskowej dyktatury, jakim jest obecna konstytucja? Droga do tego jeszcze daleka, jednak widać nadzieję na zmiany. Według obecnych sondaży, partie lewicowe i centrowe (najgłośniej mówiące o nowej ustawie zasadniczej) mogą w nadchodzących wyborach zdobyć nawet ponad 1/3 głosów, co byłoby najlepszym wynikiem od wielu lat i dało im silny mandat do działania na rzecz zmian. Zmian, które może w końcu ulżyłyby tak ciężko doświadczonemu przez neoliberalizm ludowi peruwiańskiemu.

Autorstwo: Dominik Pieniądz

Źródło: Strajk.eu